

Janusz Czarny

Wniebowstąpienie Pańskie, Radość z Wniebowstąpienia

Wrocławski Przegląd Teologiczny 9/2, 266-267

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WNIEBOWSTĄPIENIE PAŃSKIE – 9 V 2002

Radość z Wniebowstąpienia

1. „Chrystus Pan w niebo wstępuje, niech się wierny lud raduje!” A właściwie, z czego ma się radować wierny lud, skoro czas pożegnania jest czasem niepokoju, smutku, przygnębienia, a nawet płaczu, a nie radości. Takie postawy i uczucia zdają się wyrażać Apostołowie, którzy uporczywie wpatrują się w niebo. Z psychologicznego punktu widzenia musieli się chyba czuć tak, jakby się im ziemia usunęła spod nóg. Ich Mistrz – Jezus był dotąd blisko, w zasięgu ręki, nawet wtedy gdy zawisł na krzyżu. Zwłaszcza po Zmartwychwstaniu dostarczał im stałego poczucia bezpieczeństwa. A oto teraz tracą Go z oczu... Z tego osłupienia musieli ich wytrącić dopiero dwaj mężowie w białych szatach, zapowiadający powrót Jezusa Chrystusa. Pożegnania zawsze są owiane smętkiem i wywołują mieszane uczucia. Tym bardziej takie, które następuje po gwarancji pozostania na zawsze: „A oto Ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”.

To wpatrywanie się w niebo ma jeszcze inny wymiar oprócz pełnej miłości tęsknoty za Mistrzem. Jest to kontemplacja tego, co najdroższe, wpatrywanie się w Tego, który jest najdroższy, a zatem jest to kontemplacja nieba. Nieba, czyli stanu, gdzie panuje absolutna pełnia; przedmiotu tęsknoty i nadziei; stanu, który ziszcza wszelkie ludzkie pragnienia szczęścia. Ten stan uosabia Jezus Chrystus, który wstępuje do nieba, a właściwie On sam jest niebem. Pełnia szczęścia może być udziałem Apostołów tylko przez Jezusa; zapewne dlatego uporczywie wpatrują się w niebo. Wtedy zjawiają się posłańcy w białych szatach: „Mężowie z Galilei, dlaczego stoicie i wpatrujecie się w niebo? Ten Jezus, wzięty od was do nieba, przyjdzie tak samo, jak widzieliście Go wstępującego do nieba”. Czy nie brzmi to trochę jak wyrzut, jak próba przywrócenia do rzeczywistości?

2. Z góry Wniebowstąpienia trzeba bowiem zejść na dół, tak jak trzeba było zejść z góry Przemienienia, choć przecież Apostołowie znaleźli tam dobrostan i szczęście – „dobrze nam tu być...” Widać trzeba zejść na dół, do ludzi, by wypełnić nakaz i mandat udzielony przez Jezusa: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Uczcie je zachowywać wszystko, co wam przykazałem”. Taka ma być ich droga do nieba, droga do wymarzonego szczęścia, do przebywania z ukochanym Mistrzem. Kontemplacja nieba jest potrzebna, by wzbudzić tęsknotę za nim, ale by je osiągnąć, potrzebne jest działanie, konkretny czyn, wśród konkretnych ludzi. Dlatego że niebo jest dla wszystkich; tak jak Chrystus otworzył i ukazał niebo Apostołom, tak oni winni ukazywać je „wszystkim narodom” jako kierunek i cel ich życia.

Nade wszystko „będziecie Mi świadkami[...] aż po krańce ziemi”. Składanie świadectwa, posuniętego nawet aż do krwawej martyrii, jest powołaniem apostoła. W istocie, to świadectwo ma być świadczeniem o niebie, o jego cenie i wadze, o tym, że właściwym celem życia człowieczego jest pełnia szczęścia w Bogu. Po to wszakże został on stworzony przez Boga. Zatem granice doczesności, do której muszą zejść z góry Wniebowstąpienia, nie są granicami ostatecznymi, takimi, które człowieka zamkną i zatrzymają na zawsze. Te granice kiedyś prysną – wtedy, kiedy „Jezus przyjdzie tak samo, jak widzieli Go wstępującego do nieba”. Jednakże istnieje ścisły związek pomiędzy niebem a ziemią.

Związek ten układa się nawet w zależność i uwarunkowanie – do nieba idzie się przez ziemię i takie jest niebo, jakie jest świadectwo o Jezusie Chrystusie.

3. Współcześnie żyjemy w klimacie swoistej „propagandy sukcesu”; przesłanie współczesnej kultury jest takie, że człowiek koniecznie musi osiągnąć sukces, musi być człowiekiem sukcesu. I taki ideał społeczny jest nam przedstawiany na każdym kroku, jest lansowany przez środki masowego przekazu, ucieleśniany w postaciach przedsiębiorców, artystów, sportowców czy polityków. Nie wypada wręcz nie być człowiekiem sukcesu, a jeśli się nim nie jest, to pojawia się poczucie małej wartości i wrażenie zmarnowanego życia, wrażenie, że bytujemy gdzieś na obrzeżach świata sukcesu znanego nam z kolorowych czasopism. A przecież prawdziwy sukces musi mieć odniesienie do nieba!

Jeśli przez słowo „sukces” rozumie się spełnienie człowieka, stan szczęścia powiązany z pełnym zrealizowaniem swojego człowieczeństwa, to raczej trudno szukać prawdziwego sukcesu na pierwszych stronach popularnych czasopism. Sukcesem dla człowieka wierzącego, świadka Jezusa Chrystusa, będzie zawsze dopiero niebo, bo nigdzie indziej nie zazna pełni szczęścia przebywania z Chrystusem. To prawda, do nieba idziemy przez ziemię, ale właśnie jako świadkowie Jezusa, świadkowie Jego miłości. Owszem, konieczny jest moment zapatrzenia się w niebo, czas jego kontemplacji, byśmy poznali swój cel, tęsknili za nim, a przede wszystkim, byśmy wiedzieli, dlaczego mamy odznaczać się dobrocią i miłością. Tak się bowiem świadczy o Jezusie Chrystusie – dobrocią i miłością.

Nie musimy zatem popadać w kompleksy, że nie jest naszym udziałem sukces spektakularny i publicystyczny. Jeśli będziemy autentycznymi świadkami Jezusa Chrystusa, to nasz sukces będzie pełny, najwyższy i nieprzemijający. Czyż to mały powód do radości? Jezus otwiera nam niebo i wskazuje drogę; horyzonty naszego życia na tej górze Wniebowstąpienia właściwie znikają. Jest ono teraz bezgraniczne, tak samo jak perspektywa pełnego szczęścia – „niech się zatem wierny lud raduje”.

ks. Janusz Czarny

7. NIEDZIELA WIELKANOCNA – 12 V 2002

Trwaj na modlitwie

Modlitwa – siłą duchową utrzymującą nas w kręgu przyjaćiół Boga

Jaką wielką moc ma słowo! Czasami wystarczy usłyszeć kilka takich mądrych słów, a zapadają głęboko w serce. I można do nich wrócić po latach. Pamiętam kazanie, które usłyszałem w ostatniej klasie szkoły średniej. Ksiądz mówił o tym, w jaki sposób możemy nauczyć się modlić. I mówił prosto. Sens jego kazania można ująć słowami: „Aby nauczyć się modlić, trzeba się modlić. Modlić wytrwale”. Wyszedłem z kościoła rozżalony. Spodziewałem się konkretnych wskazań. Co należy robić na modlitwie, a czego nie. Jakich słów używać, by modlitwa podobała się Bogu. I by była skuteczna. A tu takie wskazania. „Też wielka filozofia” – pomyślałem sobie. Mógł się ten ksiądz bardziej wysilić!